

nico wyżej, jest druga ściana skalna ze zwaliskami, wśród których znajduje się legowisko niedźwiedzi.

— Niedźwiedzi? Więc jest tam nie jeden tylko, lecz więcej?

— O, tak!

— Kłm! przypuszczałem, że w gnieździe tem mieszka tylko niedźwiedzica z małemi, bo czas parowania dawno już minął, a stary niedźwiedź, ojciec rodziny, ma ten brzydki zwyczaj, że pożera swoje młode, więc niedźwiedzica dla zabezpieczenia potomstwa przed zbrodniczymi popędami swego małżonka wypędza go zawczasu.

— Nie wiem o tem, ale dubb, którego tutaj niedawno widziano, to z wszelką pewnością ten sam dubb el chulud¹⁾, co zamieszkał w okolicy od czasu wymordowania tu chrześcijan i jest duchem ich kapłana. Podobno przewyższa swem cielskiem dwa razy człowieka, a że tak długo już żyje, więc ze starości postywał. Żołądek ma on tak wielki, że łatwo pomieszczą się w nim Akwil ze swoim synem. Bądź więc ostrożny, effendi, wobec tego potwora i miej na uwadze, że serce moje przepelnione jest pragnieniem zobaczenia cię w Khoi, co byłoby niemożliwe, gdybyś zajął miejsce obok dwu nieszczęsnych jeńców szejka!

— Ech, nie obawiaj się o to. Jestem tak potężnym i twardym kęsem, że nawet ów potwór nie mógłby mię połknąć tak łatwo, tem bardziej, że przedtem będzie miał do pożarcia dwie wcale przyzwoite porcy z owych przedstawicieli rodu Bebbejów. Wiem również, co myśleć o nieśmiertelności potwora, i możesz mi o nim już więcej nie mówić. Wolałbym natomiast, abyś mi ściśle określił, gdzie mianowicie obozują Ke-lurowie. Czy może na tej polanie, o której wspominałeś?

— Nie; tam jest grunt bagnisty i nie nadający się na obóz. Ale umieścili się niedaleko stamtąd. Z polanki owej prowadzi na prawo jar, skąd spada nie-

¹⁾ Niedźwiedź nieśmiertelny.

wielki strumień. Gdy pójdziesz tym jarem nieco w górę, zobaczysz niebawem drugą, mniejszą polanę, na środku której znajduje się mały birka ¹⁾, stanowiący źródło owego strumyka. Otóż naokoło owego birka obozują Kelurowie.

— Czy las naokoło jest gęsty?

— O, bardzo.

— A między birka i lasem czy dosyć jest przestrzeni?

— Przeciwnie, tak mało tam miejsca, że Kelurowie rozmieścili się tuż nad wodą, a konie uwiązali naokoło do drzew.

— Dziękuję ci. Więcej wyjaśnień mi nie potrzeba. Wsiądziesz teraz na konia, ale bez siodła i uzdy, bo te rzeczy będą nam samym potrzebne.

— Co? zostawiłbyś tu kosztowne reszma? A jeżeli ci je Kelurowie ukradną? Sądzę, że lepiej będzie, jeśli je zabiorę do Khoi.

— Nie obawiaj się; prędzejby je tam skradziono, niż tutaj! No, siadaj zaraz na oklep i jazda!

Rozsiódławszy konie, wyprawiliśmy z nimi gospodarza, który na odjeździe życzył nam kilkadziesiąt razy szczęścia i powodzenia, a zwłaszcza, by nam się udało wydostać jego „pieniądze”.

Po jego odjeździe znaleźliśmy wśród skał niezły schówek, gdzie umieściliśmy siodła, i następnie poszliśmy wedle wskazówek oberżysty w górę za śladami Kelurów, ale tylko do miejsca, gdzie się dzieliło łóżysko potoku, gdyż można było przypuszczać, że dalej szekj niezawodnie rozstawił warty, które mogłyby nam być przeszkodą. Z tego też względu postanowiłem podejść do obozu inną drogą, ku czemu wystarczyły mi wskazówki, udzielone przez gospodarza, oraz przelotne rozejrzenie się wokół.

Szekj niewątpliwie uważał nasze przybycie za możliwe i przypuszczał, że w razie, gdybyśmy go ścigali,

¹⁾ Stawek.

trzymać się będziemy ściśle jego tropów aż do końca. Dlatego to najprawdopodobniej skierował całą swą uwagę w tę stronę, nie troszcząc się zresztą o nic.

Domyślając się tego, postanowiliśmy zbliżyć się doń ze strony przeciwnej, a więc z góry. Opuściliśmy zatem łożysko i po godzinnem prawie wspinaniu się po stromych skalach w górę, dostaliśmy się wreszcie na szczyt, z którego widać było po przeciwnej stronie na równej wysokości słynną chrześcijańską muzallah.

Widok stąd przedstawiał się wspaniały. Przed nami u podnóża skał wielką przestrzeń zajmowało istne morze leśnej zieleni o ciemniejszych lub jaśniejszych plamach, zależnie od rodzaju drzew — iglastych lub liściastych. Na prawo i lewo piętrzyły się fantastyczne skaliste zbocza. Podobnie czarownego widoku nie zdarzyło mi się oglądać ani w Sudetach, ani w Kar-konoszach, ani nawet w Alpach i Pirenejach. Oczywiście nie mam tu na myśli wysokości i wogóle ogromu kształtów górskich, bo góry około muzallah wcale do wielkich nie należały, — ale zachwytem mi przejął niesłychanie malowniczy i charakterystyczny ich obraz. Kontury i postacie postrzępionych, dzikich, fantastycznych skał przywiodły mi na pamięć charakter tutejszych równie dzikich i nieokielzanych plemion. Zresztą wiadomą jest rzeczą, że czy to na Północy, czy na Południu, w górach, czy na równinie, człowiek jest nieodrodnym dzieckiem otaczającej go przyrody, z którą się żył i do której charakter jego dostosował się ściśle. Jest to pewnik niezaprzeczalny.

Niemniej malowniczy i równie przedziwny przedstawiały widok przeciwległe skały, gdzie zbudowana była „kaplica umarłych”. Zakątek ten, oddzielony od świata, był jakby stworzony na schronisko dla chrześcijańskich bojowników wiary. Kaplica ich wznosiła się na wyżynie skalnej, jak ołtarz, a cała dolina stanowiła jakby nawę olbrzymiego tunu, którego sklepieniem były niebiosa. Bór odwieczny szumiał tu pieśnią przedziwną, jakby jakieś tajemnicze organy.

I oto fanatyczni a żadni krwi szyici wytropili tu spokojnych i dobrotliwych wyznawców Chrystusa, którym jedyna droga do ucieczki pozostała... ku niebiosom!

Kaplica, której ruiny mieliśmy przed sobą, musiała być imponującą budowlą i pomimo, że już teraz nie można było odróżnić ani jej stylu, ani kształtów, widok szczątków budził w duszy podniosłe uczucie... Zdawało się, że ponad szczyty skalne unosi się głos boży, który zamarł, jak echo, a który brzmiał ongi: „A kto wytrwa aż do śmierci, zbawion będzie!”

Ściany kaplicy zbudowane były z surowego, nieciosanego kamienia, a odrzwy stanowiły trzy wielkie monolity. Dwa duże otwory okienne, pozbawione dziś kształtów wskutek nieustannego wietrzenia, patrzyły w dal, jak oczodoły Samsona. Sklepienie tworzyła olbrzymia płyta, ciężka i przygniatająca, jak owa klątwa kapłana-męczennika!

W najbliższem otoczeniu kaplicy nie było ani drzew, ani krzewów, i nawet zdawało się, że mech nie miał się tych świętych głazów. Dopiero powyżej, wśród rumowisk skalnych, sterczał tu i ówdzie krzak dzikiej róży, głogu lub kosodrzewiny, oplatającej skałę i przewijającej się przez zалоmy i szczeliny, niby sploty węzłów, — dalej zaś wychylały się z pośród chwastów lilowe dzwonki, dzikie gwiaździste rumianki i inne kwiecie skalne, poza którym piętrzył się pas tarniny.

Tam właśnie, wśród tych zwałów i gruzów, znajdowało się według mego mniemania legowisko niedźwiedzi.

Ha! przypuszczał toż samo, gdyż w tej chwili rzekł do mnie:

— Sidi, tam, w górze, gdzie te wielkie labhata el bigara¹⁾, mieszka niezawodnie dubb el chulud. Jeżeli mamy przekonać go, że mimo tej nazwy jest śmiertelny, musimy się tam dostać i przeciąć nić jego ży-

wota, zanim jeszcze zdola połączyć dwu Bebbejów, miodem oblicie nasmarowanych.

— Niestety, musimy tego zaniechać, bo z powodu zbyt otwartej niejściowości Kelurowie zobaczyliby nas natychmiast!

— A więc dopuścisz do tego, aby Akwil z synem znaleźli się we wnętrznościach potwora?

— Nie, nie dopuszczę.

— Ba, ale jakże temu zapobiegiesz, nie wyszukawszy wprzód niedźwiedzia?

— On sam przyjdzie do nas, i zbytecznym byłoby z naszej strony składać mu wizyte.

— No, no! w takim razie hukwot ten jest uprzejmiejszy i lepiej wychowany od nas. Nie gniewaj się, sidi, za ten zarzut, bo widać tak jest istotnie. A czy zdaniem twojem niedźwiedź naprawdę jest tak wielki, jak go opisywał gospodarz?

— No, takich niedźwiedzi, jak opisywał oberżysta, niema wcale na świecie.

— I mnie się zdaje, że to nieprawda. Gdyby chciał zjeść obu Bebbejów, a potem ciebie, musiałby mieć żołądek tak wielki, jak namiot niewieści. Przytem ma on być całkiem biały, jak śnieg. Czy są na świecie niedźwiedzie takiej maści?

— O, są, ale na oceanie Lodowatym, i to od urodzenia białe. Bajką zaś jest, aby niedźwiedź kurdyjski na starość siwiał.

— A czy może on w tak podeszłym wieku mieć dzieci?

— Owszem. Niedźwiedź tutejszy żyje do lat mniej więcej pięćdziesięciu, i były przykłady, że niedźwiedźca w trzydziestce wychowała niedźwiedzią. Zatem w opowiadaniu gospodarza jest część prawdy.

— W jakім więc sposób zamierzasz ratować skazańców, nie zgladzwszy przedtem niedźwiedzia?

— Jeszcze nie wiem, wprzód bowiem muszę się dostać do Kelurow.

— Chcesz zapewne podpatrzeć ich przedewszyst-

¹⁾ Zwał kamieni.

kiem i podsłuchać? Weź mnie ze sobą, sidi! Wiesz przecie, jak chętnie i odwaznie idę naprzeciw niebezpieczeństw!..

— Będziesz miał ku temu sposobność dziś jeszcze, ale trochę później. Teraz zaś muszę sam dobrze poznać stanowisko Kelurów, i może coś ważniejszego uda mi się podsłuchać; przeskadzajbyś mi w tem, podczas gdy zostawisz tutaj, będziesz daleko użyteczniejszy w naszej sprawie.

— W jaki sposób, sidi?

— A w taki, że oddam ci pod opiekę moje karabiny, których nie chciałbym brać ze sobą, abym ich przypadkiem nie został pozbawiony. Później zresztą przekonasz się, jak ważną oddasz mi przysługę, gdy je zatrzymasz w swoich pewnych rękach.

Miałem uzasadnione powody do tak dobrego o nim mniemania. Halef znakomicie był wyuczony przezemnie nawet w tak trudnej sprawie, jak skradanie się do nieprzyjaciela, i nie brakło mu w tym kierunku pewnych zdolności. Ale w wypadkach ważniejszych wolałem nie narażać go na niespodziewane próby, jakie mogłyby przechodzić jego sprawność. Naprzykład, mimo znacznej siły fizycznej, nie mógłby on zbyt długo utrzymywać się na palcach; nie umiał też opanować się, gdy szło o milczenie, zwłaszcza przez czas dłuższy. W podobnych okolicznościach niejednego już strzelił bąka, narażając mnie na niepowodzenia. Dziś tembardziej nie chciałem go mieć przy sobie tam, pod obozem Kelurów, że, pomimo niezwykłego mego doświadczenia i wyrobienia w sztuce wywiadowej, sam czułem pewien lęk, bo sprawa była bardzo trudna i połączona z niebezpieczeństwem, jak rzadko kiedy. Aby jednak Halef nie czuł się dotkniętym z racji pozostawienia go w tem przedsięwzięciu na stronie, poruczyłem mu „ważne” rzekomo do spełnienia zadanie, czyli poprostu ocukrzyłem mu gorzką pigułkę, aby ją łatwiej i bez szemrania mógł przelknąć. I pocziwiec nie domyślił się mego wybiegu, gdyż zauważył dumnie :

— Bardzo słusznie czynisz, sidi, powierzając mi tak drogocenne rzeczy. Gdyby się okazała potrzeba, będę ich bronił do ostatniej kropli krwi.

— Do tego nie dojdzie, gdyż tu z pewnością nie zjawi się nikt, co by ci chciał je odebrać. Wystarczy, gdy schowasz się tak, aby cię nie spostrzeżono, gdyby wbrew memu przewidywaniu zbłądził kto w te strony. Niewolno ci też ruszyć się z miejsca, dopóki cię nie zawołam.

— Dobrze, ale kiedyż mam się spodziewać twego powrotu?

— Nie wiem jeszcze; możliwe, że dopiero po upływie kilku godzin.

— Allah! godziny te będą dla mnie wiecznością, a myśl o twem niebezpieczeństwie nie da mi ani chwili spokoju, gdyby zaś wypadło ci zabawić tam dłużej, będę w śmiertelnej o ciebie obawie i nie rzczę, że dusza wyleci ze mnie z niecierpliwości. Nie mogę nawet pomyśleć o tem, aby cię spotkało nieszczęście w mojej nieobecności. Czy mógłbyś, sidi, ponieść śmierć bezemnie?

— Śmierci nikt jeszcze nie pokonał, a więc i ja nie mógłbym jej przemóc. Gdyby mię jednak zabito, wówczas byłoby mi obojętne, czy ty byłbyś przy tem obecny, lub nie.

— Ależ ja nie chcę umierać w inny sposób, jak tylko razem z tobą!..

— Nie pomogłoby mi nic a nic twoje towarzystwo w drodze na tamten świat, podczas gdy zostawisz przy życiu, mógłbyś mię przynajmniej pomóc należycie.

— O, do pomśzczenia cię ja jeden tylko na świecie miałbym prawo! Bądź spokojny, sidi! zaczekam tu cierpliwie do twego powrotu. Gdybyś jednak nie przybył, wówczas biała Kelurom! w niedługim czasie ani jeden z nich nie zaliczałby się do ludzi, bo wszystkichbym wystrzelał i posłał do piekła, aby tam zostali dyabłami. Ja ci to mówię, sidi, a co ja postanowię, musi się stać nieodzownie. Więc idź w imię Allaha! Twój

wierny sługa i mściciel już siedzi w ukryciu i czeka albo twego powrotu, albo... wielkiego czynu zemsty!

Śmiać mi się chciało — tak zabawnie poważna miał minę przy tych słowach. Ale się powstrzymałem nawet od uśmiechu, ażeby wiernego towarzysza nie urazić. Wręczyłem mu karabiny, uściśnaliśmy dłonie i, raz jeszcze przestrzegłszy, by się dobrze ukrył, poszedłem w kierunku obozu nieprzyjacielskiego.

Wedle moich obliczeń, mogłem się tam dostać w zwykłych warunkach po kwadransie drogi, — ale ze względu na konieczność zachowania wielkiej ostrożności czas ten mógł się przedłużyć bardzo znacznie. Na moje szczęście, zbrocze góry nie było tu zbyt obfite w kamienie, które, osuwając się przy lada potrąceniu nogą, mogłyby czynić łoskot, a drzewa ułatwiały każdej chwili ukrycie się za ich grubymi pniami i nasłuchiwanie.

Na wywiady w pobliżu nieprzyjaciela idzie się zazwyczaj etapami od drzewa do drzewa. Wywiadowca, ukrywając się za pniami, nasłuchuje czas jakiś i rozgląda się na wsze strony, a gdy się przekona, że niema niebezpieczeństwa, posuwa się ostrożnie a szybko do następnego drzewa, by znowu ze słuchu i wzroku zrobić użytek, — i tak postępuje w dalszym ciągu aż do skutku. Wymaga to wiele czasu, ale za to w poważnej mierze zapewnia bezpieczeństwo.

Po półgodzinnem posuwaniu się w ten sposób naprzód zbliżyłem się o tyle do celu swej wycieczki, że mogłem już słyszeć głosy ludzkie, które najprawdopodobniej pochodziły z obozu. Nie omyliło mnie więc moje obliczenie, pomimo, że miejscowość nie była mi znana i pierwszy raz zdarzyło mi się w te strony zabłądzić, nie mając pojęcia o właściwościach terenu i odległościach. A wiadomo, że w gorzystych stronach, odległości nieraz ludzą oko, i gdy przedmiot jakiś zdaje się bliższym na kilometr, w istocie odległy jest od patrzącego kilkakrotnie.

Z dobiegających mego ucha głosów sądząc, nieprzyjaciel znajdował się w niewielkiej odległości

głóści. Nigdy nie przypuszczałem, że tak łatwo tu się dostanę. Zszedłem w głębokie nakształt rowu wgłębienie gruntu, obficie zacienione po brzegach wysoka paprocią, a przypadłszy do ziemi, na czworakach, jak jaszczurka, popęzłem w dół i o kilkanaście metrów niżej dotarłem do ostro ściętej krawędzi skały. Wysunąłem głowę naprzód... O kilkanaście metrów poniżej znajdował się obóz Kelurów.

Kryjówka moja była znakomita. Oslaniały mnie paprocie, a nademna wysokopienne drzewa tworzyły gęste sklepienie. Wzgłębienie, w którym leżałem, wyłobiała prawdopodobnie kiedyś woda strumienia, którego źródło znajdowało się powyżej, a który następnie łożysko swoje przeniósł gdzieś indziej. Pod skalną więc ścianą na dole było zupełnie sucho, i tam obrał sobie legowisko sam szejk, biorąc widać pod uwagę, że tu ani deszcz, ani wiatr nie przeszkodzi mu w spoczynku, a pokryte mchem podłoże będzie mu wygodną pościelą.

W pobliżu szejka leżeli skrupowani jeńcy, pilnowani przez jednego z Kelurów, który niezbyt trudne miał zadanie i wcale niepotrzebnie dźwigał karabin. Byli to: Akwil, syn jego, niezamur, oraz kilku jeszcze obywateli z Khoi. Szejk, siedząc tuż pod skałą, rozmawiał z nimi tak głośno, że mogłem dokładnie słyszeć każde słowo. Widocznie znajdował wielką przyjemność w dręczeniu nieszczęśliwych złośliwymi i obrażającymi wyrazami, które szczególnie drażniły Salego Ben Akwila, bo odcinał się z nietajoną nienawiścią:

— Gdybym nie wiedział, że szatani mieszkają w piekle, sądziłbym, iż dusza twoja jest ich gniazdem, albo raczej, że ty sam jesteś patriarchą wszystkich szatanów.

— Ech, co znaczy szatan w porównaniu ze mną, gdy idzie o zemstę krwi! — sztył szejk. — On z pewnością wstydziliby się wobec mnie, bo gdyby mu wypadło was ukarać, nie potrafiłby wymyślić odpowiedniejszej dla was śmierci, niż ja to uczyniłem. Zobaczysz

się z nim niebawem, możesz go zapytać, czy byłby w stanie coś dowcipniejszego obmyślić. Patrz! w tym koszyku są plastry świętego miodu. Za pół godziny najdalej zacznę cię nim smarować, żebyś... no, żebyś miał słodką śmierć... Jestem więc względny dla nauczyciela i kaznodzieli, zwiastującego przyjście Mahdiego, nie prawdaż? A jeżeli nie lubisz słodczy i wolisz gorzkie życie, niż słodka śmierć, to módl się do Allaha, do proroka i do Mahdiego... niech cię z mych rąk uwolnią...

— Modliłem się i mam tę pewność, że szczerą a z głęboką wiarą modliwa wysłuchana być musi — odrzekł Sali. — Jest ono, według słów koranu, jak ten ogień, który nawet najtwardszą rudę przetapia na metal!

— Głupi jesteś! — drwił szejik. — Żaden Bóg, żaden prorok nie może być w sprzeczności z własnymi przykazaniami. Wszak Allah sam nakazał zemstę: „Oko za oko, życie za życie!” I prorok nie byłby dziś prorokiem, gdyby był mieczem nie utorował drogi swej nauce! Widzisz więc, że postępuję według przykazań Allaha i proroka, i stoję omi po mojej stronie, a po twojej jest tylko szejtan.

— Znam pewną naukę, która mówi odwrotnie i która zabrania zemsty.

— Masz na myśli zapewne naukę chrześcijańską... Ale wraz z nią jesteś głupi! Trzeba mieć przewrócone w głowie, aby coś podobnego postawić i głosić. Życie wskazuje najlepiej, że nauka ta nie ma sensu i wyznawcy jej nie mogą się dziś stosować do niedorzecznych jej przykazań. Chrześcijanie wolą kłamstwo, niż prawdę, karę, niż przebaczenie, wojnę, aniżeli pokój... I twój Kara Ben Nemzi nie lepszy jest wcale od innych swych współwyznawców.

— A jednak ja wierzę mu, bo mówi zawsze to, co myśli.

— Allah w' Allah! Muzułmanin wierzy chrześcijaninowi! Naprawdę oszalałeś i masz nadzieję, że ten parszywy szakal uwolni cię z pazurów niedźwiedzia!

— Tak, Szir Samurek! Co myślę o nim, myślę na pewnej podstawie. Emir z Frankistanu to syn szczęścia i ulubieniec dobrych dżinnów!), które otaczają tron Allaha w niebie, i dokonał on wiele trudniejszych rzeczy, niż uwolnienie kogoś od śmierci.

— A jednak nie ma on odwagi ścigać mię, i uważam go raczej za trwożliwą hyenę, niż za bohatera... albo też jest ślepyim psem i nie zdołał wpaść na moje tropy, gdyż inaczej dawno już byłby tutaj!

— Jeszcze czas; może go się doczekasz...

— Jeżeli go się doczekam, tem lepiej! Wpadnie w ręce moje, no i... zginie razem z wami. Dobrzeby się to nawet złożyło, bo, jako chrześcijaninowi, należy mu się, aby go zjadł zakłęty duch chrześcijańskiego kapłana.

— Allah daje życie i Allah śmierć sprawia. Nie umrę i ja jeszcze, bom nie spełnił zadania, jakie mi jest przeznaczone, i dlatego pewny jestem ratunku.

— Naigrawasz się ze mnie, psie jakiś, ale już niedługo na to ci pozwolę. Tymczasem, póki nie zdechniesz, możesz sobie wyglądać pomocy od półksiężycy, czy od krzyża, wszystko mi jedno... na nic się to jednak nie przyda!

— Mylisz się! Jeżeli muzułmański półksiężyc nie będzie miał nademną litości, znajdę ją niezawodnie w krzyżu.

— Który szyci strącili z kaplicy i wrzucili w ogień... Spalił się już on i pomóc ci nie może!

— Ale wiara weń pozostała i moc jego trwa do tej chwili...

Na te słowa zerwał się szejik, jak wściekły, i począł wrzeszczeć:

— Psie parszywy! przestań szczekać i upor się swego mi nie okazuj! Raczej zapamiętaj sobie, co ci powiem: tam, na górze, stoi muzallah el amwat, gdzie wkrótce pożre was zakłęty niedźwiedź. Ty jednak powiadasz, że

) Duchów.

krzyż uratuje was? Dobrze! Gdyby u wejścia do kaplicy stanął z krzyżem w łapach ów niedźwiedź zaklęty, uwierzyłbym wówczas, że jakiś tam Kara Ben Nemzi, przyjaciel twój, a właściwie pies chrześcijański, mocen jest wyratować was od śmierci. Słyszałeś? Zdaje mi się, iż skory byłbyś uwierzyć i w to, że się tak stać może.

— Jeżeli Bóg tak zechce, stać się to musi!

Słowa te rozdrażniły szejka do reszty, bo zwrócił się do swoich podwładnych i począł wołać:

— Słuchajcie, wierni! Ten zwaryowany syn psa i suki z plemienia Bebbejów wierzy, że duch zabitego kapłana chrześcijańskiego w postaci niedźwiedzia ukaże się w drzwiach kaplicy z krzyżem w łapach na znak, że obaj przekłęci jeńcy z pomocą dwakroć przeklętego psa Kara Ben Nemzi mają być uwolnieni od śmierci, którą im przeznaczyłem. Idźcie i popatrzcie, jak wygląda waryat, co w podobne brednie wierzy, a pozwalam wam usłuchać się przy tej sposobności!

Na tę łaskawą zachętę szejka rozległ się śmiech ogólny, a echo odbiło go o skały i mury kaplicy, jak-gdyby istotnie chciało wywołać z niej zaklętego ducha.

Spojrzałem odruchowo w tamtą stronę, a pewna myśl, niestety niepodobna do wykonania i zbyt fantastyczna, zanurtowała w mej głowie.

Gdy śmiech ucichł, szejk ozwał się ponownie do jeńców, zajmując miejsce obok nich na ziemi:

— No, i cóż? Widzieliście ducha?... Niestety, zawiódł wasze nadzieje. Ale za to słyszeliście śmiech z waszej bezdennej głupoty, zaś jutro o tej porze taki sam śmiech obije się o wasze uszy na dnie piekła i huczeć w nich będzie bezustannie, na wieczność! Zwodniczą jest wasza nadzieja, a wiara, z którą się liczycie, fałszywą. Grzeszycie śmiertelnie wobec Allaha oraz proroka, powołując się na pomoc innego Boga, i tem większą będzie wasza kara na tamtym świecie, gdy Allah całkiem się od was odwróci.

Na to orwał się Akwil, który aż do
tego czasu młotał uparcie:

- A niechże się odwraca! Jeżeli on i
prorok jego nie mają dla nas bliźni, to
co nam po nich? Czyż wreszcie grzechem
jest lekceważyć sobie taką wiarę, która
nie uznaje umiłowania, oddając wy-
mawców swych w ręce wroga na
zemnię i pastwę

stawiam ci te propozycje, jednak uczynię tak, jak będziesz uważał za stosowne.

— Zbyteczne mi są jakiegokolwiek z twojej strony dowody, gdyż wierzę ci w zupełności — odrzekłem na szczere jego słowa. — Sądząc zresztą, że nie zdziwi cię i to, iż po daleko idącym zaufaniu, które ci przed chwilą okazałem, nie obrażę cię choćby nawet cieniem podejrzenia, co zresztą zniszczyłoby nasz związek w samym zarodku. Idź więc i powiedz swoim wojownikom, co zaszło, a my zaczekamy tu na ciebie.

— Jest to nowy dowód twojej szlachetności — odparł, ściskając mi ręce, — i naprawdę wczoraj jeszcze, gdyby mi to kto przepowiedział, nie byłbym uwierzył. Ołóż słuchaj, pójde na dolinę i wróce prędzej, niż się spodziewasz, a wróce, by cię przekonać, że nie posiadam dwu języków, z których jeden umie mówić prawdę, a drugi kłamstwo. Oczekujecie mnie tutaj za chwilę.

Bebhejowie, pomimo tego, co zaszło przed chwilą, po oddaleniu się szejka uczuli obawę, a Halef ostrzegł mię:

— Sidi, puszczasz się zadaleko! Dlaczego to dziś właśnie jesteś najnniej przeczorny, niż kiedykolwiek w życiu?

— Bo nie chcę burzyć tego, co się tak świetnie zbudowało. Przeworności nie zaniedbam i pójde za nim zdaleka, by go śledzić; ale on nie powinien wiedzieć o tem. Zostanie tutaj. Na wszelki wypadek nie będziecie długo czekali, bo wróce prędzej, niż on.

Zszedłem na dół w las. Z obozu dochodziły jeszcze mych uszu krzyki i nawoływania, ale wnet uciszyło się. Szejka, znalazłszy się wśród śwych wojowników, począł im opowiadać o wszystkim, co zaszło. Bez trudności dotarłem aż pod obóz i: ukrycia mogłem dokładnie słyszeć słowa Szir Samureka. Już pierwsze dosłyszane przeze mnie zdania, wygłoszone tonem mówcy wiecowego, przekonały mię, że nie był względem nas obłudn. Zaczekałem jednak aż do końca

przemowy, gdy zalecał podwładnym jak największy spokój. Oczywiście, co było do przewidzenia, spotkał się z pewnym oporem ze strony niektórych starszych Kelurów, gdyż ludzie ci, przejeżdżając do szpiku kości chęcią zemsty, nie przeżyli tak okropnej chwili, jak on, i niełatwo ich było namówić do zgody. Mimo to, udało mu się wkrótce przekonać wszystkich.

Wróciwszy na górę do swoich, kilka minut zaledwie czekałem na Szir Samureka, który z przyjazną miną zbliżył się do nas bez żadnego orszaku.

— Powinieneś być ze mnie zadowolony, effendi — rzekł wesoło. — Moi wojownicy przyjęli wiadomość o uwolnieniu Bebhajów z wielkiem zdziwieniem. Dowiedziawszy się jednak, że ty właśnie uratowałeś im życie i że uprowadziłeś mię, a następnie wróciłeś mi wolność, zapragnęli zobaczyć cię na własne oczy wpośród siebie, i to jako przyjaciela oraz gościa. Przyjmą cię więc i Halefa Omara najżyczliwiej. Aby cię jednak przekonać, że niema w tem żadnego postępu, przybyłem tu sam i bez żadnej broni; weźcie mię między siebie do środka i idźcie wdół. Moi wojownicy odłożyli strzelby i noże na jedną stronę obozu, a na drugą przenieśli się sami, mógłbyś więc wśród nich sam jeden tylko skorzystać ze swojej czarodziej-skiej flinty, gdyby ci się wydało cośkolwiek podejrzanem.

— Zarządzenie to jest ponownem świadectwem twego honoru, dla nas jednak jest ono zbyteczne, gdyż wierzymy, że nie zamysłasz podejść nas podstępnie. Zgadzasz się więc na spełnienie warunków, które ci poprzednio wyjawilem?

— Tak, ale mam jedną prośbę do ciebie.

— Radzym, wiedzcie...

— Gdybyś mi podarował skórę niedźwiedzia, byłaby to nie tylko dla mnie, ale dla całego naszego szczebu drogocenna pamiątka po sławnym Kara Ben Nemzim...

— Darowuję ci chętnie skórę niedźwiedzi, ale

futra z trzech młodych niedźwiadków należą do Halefa Omara; zabierze on je sobie do Heddinów również na pamiątkę.

— Co mówisz? niedźwiedzica miała więc aż troje młodych?

— I to nie byle jakich.

— No, to jesteście prawdziwymi bohaterami, gdyż uśmiercić aż cztery bestye bez strzału, bo go nie słyszano w obozie, to istotnie żaden myśliwy takiej sztuki dokonać nie potrafi...

— Dowiesz się potem, jak to było. Mój kochany mały Hadzi Halef Omar jest niełada mistrzem w opowiadaniu, i dowiecie się wszyscy od niego całej historii od dnia przybycia naszego do Khoi aż do chwili obecnej.

Tych kilka życzliwych słów uradowało Halefa niezmiernie, jak niemniej cieszył się, że będzie miał sposobność popisać się swym talentem krasomówczym.

— O, tak! — odrzekł polecthany mile. — Allah obdarzył mnie szczególną zdolnością do wygłaszania mów i ciekawych a zajmujących opowiadań, tak, że kiedy zacznę mówić, milkną nie tylko ludzie, ale i konie, a nawet wielbłądy. Opowiem wam, w jaki sposób odnaleźliśmy was, jak mój sidi wyniósł cię na plecach z obozu i wyprowadził potem konie, a przedewszystkiem dowiecie się, z jaką odwagą stanął do pojedynku z „nieśmiertelną” bestyą z muzallah. Nie tylko podziw was ogarnie, gdy się dowiecie szczegółów tej szalonej rozprawy, ale uśmiejcie się przytem z różnych zabawnych zajęć i wypadków. Szkoda wielka — dodał po chwili, — że zbyt mało zabraliśmy z Khoi daktyłów, i to robaczywych w dodatku, że jeść ich nie można bez wstrętu. Mamy jednak nadzieję, że u was znajdują się lepsze. Rih, nasz szlachetny rumak, przywykł do tych owoców, a że obchodziliście się z nim wczoraj wcale nie troskliwie, winniście mu to dziś wynagrodzić.

Mały zuch wykorzystał sposobność, pragnąc połączyć pożyteczne z przyjemnem. Nie bardzo byłem

zadowolony, że tak bez ceremonii upomina się o gościnność, — ale szejik przyjął przymówkę Halefa z dobrą miną, obiecując uczynić wszystko, co tylko leży w jego mocy, abyśmy byli radzi z gościny u niego.

I któżby się był spodziewał, że ten zbójca i rabuś, nie uznający żadnego prawa, prócz przemocy i zemsty, zmieni się w tak krótkim czasie nie do poznania! Dziś jeszcze dziwię się, że on, który mego Rih'a cenił, jak najkosztowniejczy klejnot, ani jednym słowem nie zdradził się z tem, że mu żal wypuścić go z rąk swoich. A nie trwoga przed śmiercią zmieniają go tak radykalnie, lecz moje z nim postępowanie, pełne godności ludzkiej i oparte na miłości bliźniego, która silniejsza jest, niż niebo i ziemia, i która — zdaniem wielkiego apostoła — górę na górę przenosi.

Ujawszy konie nasze za uzdy, zesłiśmy za szejikiem na dół do obozu, gdzie zastaliśmy wszystko tak, jak mówił. Po prawej stronie leżała broń, a z lewej, od stawu, siedzieli Kelurowie. Przywitali mnie i Halefa z wielkiem uwielbieniem, na Bebbców wcale nie zwracając uwagi. Najserdeczniej powitał nas nezanum i jego towarzysze, którzy zawdzięczali nam w tej chwili swą wolność i odpuszczenie żądanego okupu.

Gościnność Kelurów polegała na tem, że, zwyciężając wszystkich półdzikich ludów, urządzono dla nas wspaniałą ucztę, tem bardziej, że nastęrczała ku temu wyborną sposobność zdobyć nasza w muzallah. Kelurowie udali się tam wraz z nami, wszelako nie bez trwogi, choć niebezpieczeństwa żadnego już nie było, a gdyśmy przybyli na miejsce, szejik, wskazując niedźwiedzice, rzekł do mnie:

— Nie dotknę jej prędzej, effendi, aż się przekonam, że istotnie już nie żyje, i dopóki będzie miała krzyż w łapach... Bo nie wiem naprawdę, co może być dla mnie niebezpieczniejsze: stanąć przed krzyżem chrześcijańskim, czy też dostać się w pazury potwora.

— Jeżeli idzie o to, aby cię uspokoić co do niedźwiedzicy, to ja sam zajmę się nią zaraz — odrze-

kłem — i przekonam cię, że nie żyje. Ale musisz mi za to dopomóc w ustawieniu innego, okazalszego krzyża na ruinach muzallah.

— Dobrze, uczynię to chętnie. Niektórzy z wojowników moich mają kadadim¹⁾, potrzebne zazwyczaj przy urządzaniu obozu, mianowicie do wyrąbywania żerdzi na namioty, oraz gałęzi na ogniska. Zełniemy potrzebne drzewo i wedle twoich wskazówek sporządzimy krzyż.

Słyszając to, Sali Ben Akwil przecisnął się ku mnie i zapytał:

— Pozwolisz i mnie, effendi, być wam pomocnym przy tej czynności?

— I owszem. Ale ty przecież jesteś nauczycielem i kaznodzieją islamu, więc być może, że praca około ozdobienia kaplicy chrześcijańskiej godiem wiary, którą wy wszyscy potepiacie, niezgodna będzie z twem powołaniem i przekonaniem.

Obecni przy tej rozmowie wojownicy Szir Samureka byli wszyscy wyznawcami islamu, a jednak Sali odrzekł, tak, aby słowa jego były przez nich słyszane:

— Mówiłeś nam przecie niedawno, że półksiężyc ma kształt zakrzywionego miecza morderczego, a krzyż jest znakiem Boga miłości, który nas za twem pośrednictwem wybawił od śmierci. Otóż, jeżeli się ma wybierać między życiem a śmiercią, nie powinno się wątpić i stać chwiejnie w wierze. Czyż zresztą śmierć wszystkich Kelurów nie tkwiła w łufie twego czarodziejskiego karabinu? czyż dalej okazanie temu Bogu wdzięczności za ratunek dowodzi wyparcia się islamu? Jestem wyznawcą proroka i głoszę przyjście Mahdiego, to prawda; ale czyż może to być przeszkodą przyjaznych mych uczuć dla ciebie i przez to samo szacunku dla wiary, którą wyznajesz? Wszak Abraham był najpierw poganinem, a potem wyznawcą jedynego Boga; tak samo i Mahomet był mułmaninem nie od urodzenia, jak również i wasz Chry-

¹⁾ Sikiery.

stus, zanim ogłosił nową wiarę, był wyznawcą Mojżesza. Stąd wynika, że i Mahdi, którego szukam po świecie, niekoniecznie musi być wyznawcą islamu, i kto wie, czy nie był on dotychczas chrześcijaninem. Możesz nie zgadzać się ze mną na punkcie wiary, ale nie wzbraniaj mi wykonać tego, co nakazuje mi obowiązek wdzięczności.

— Ależ ja wcale nie mam zamiaru sprzeczać się z tobą co do religii, gdyż jestem przekonany, że skoro tylko zajmiesz się gorliwie poszukiwaniem prawdy, to ją znajdziesz. Dotychczas błądziłeś poomacku, ale kto wie, czy dziś-jutro nie zajaśnieje ona nad tobą, jak owa gwiazda, która trzech mędrców do Bait Lam¹⁾ wiodła, i czy wkońcu nie wskaże ci drogi do prawdziwego „Mahdiego”, którego głos do dziś jeszcze brzmi przez wszystkie ziemie: „Jam jest prawda i żywot, i nikt beze mnie nie trafi do Ojca, który jest w niebiesiach.” Szukaj więc gorliwie tej prawdy, tej drogi, ale nie z uprzedzeniem, nie z zaślepieniem dotychczasowem, a znajdziesz ją niezawodnie.

— Effendi, uczynię wszystko, aby dojść tam, gdzie mi wskazujesz — odrzekł, ściskając mi ręce. — Pozwól teraz, że pomogę ci usunąć na bok potwora, bo nam zagradza wejście do środka.

— Łapy dla mnie i effendiego — zastrzegał się przeczorny Halef; — reszta mięsa dla was, tak z niedźwiedzi, jak i z młodych.

— Tylko wątrobę trzeba koniecznie wyrzucić, bo u tego gatunku niezdalna jest do użytku i można się nią zatruć — dodałem ostrzegawczo.

Usunąwszy trupa niedźwiedzi z wejścia do muzallah, zdjeliśmy z niej skórę, co przyszło nam nielato wskutek jej ostygnięcia i stężenia. Skórę otrzymał odemnie w podarunku szejek, futerka zaś młodych niedźwiedziąt zabrał Halef i natychmiast wziął się do wysmarowania ich od strony wewnętrznej mózgiem, w czym

¹⁾ Belleem.

mu dopomogli Kelurowie. Tymczasem Akwil z synem poszli wymyć się z miodu, który do tej pory błyszczał, jak lakier, na ich ciałach i twarzach.

Po ubezpieczeniu niedźwiedzi rozpoczęła się w obozie uczta, w czasie której utwierdzoną została między Bebejami i Kelurami, jak również oczywiście między nami i niedawnymi naszymi wrogami obydwu szczepów, przyjaźń na całe wieki. Rozumie się — wiedziałem dobrze, co jest warte takie zaprzysiężenie zgody i przyjaźni; znane są podobne sojusze dyplomatów wszystkich krajów, a zapewne i półdzikim Kurdom.

Lapy niedźwiedzie smakowały mnie i Halefowi przewybornie, innych jednak części niedźwiedzi nie próbowaliśmy nawet i nie poważaliśmy się ich nawet wziąć do ust, chyba pod groźbą śmierci głodowej, gdyż twarde były i żyłaste, jak podszawa. Kelurowie natomiast nie mogli się jej nachwalić i jednogłośnie oświadczyli, że takiego wspaniałego lukmat esz szuret¹⁾ nigdy jeszcze dotychczas nie jedli. Widocznie okoliczność, że było to mięso ze sławnego w okolicy potwora, uważanego dotychczas za ducha kapłana chrześcijańskiego, dodawała im apetytu i napelniała ich niejako dumą.

Po posiłku sporządziliśmy wspólnemi siłami olbrzymi krzyż z twardego drzewa i ustawiliśmy go wśród niemalych trudności na szczycie ruin kaplicy.

Po skończeniu tej roboty zapytał mię Ben Akwil: — W podróży moich, effendi, miałem sposobność poznać wiele zwyczajów europejskich i wiem, że w okolicznościach takich, jak właśnie obecna, urządza się uroczyste takdis²⁾. Otóż jak myślisz? czy nie możaby i tu urządzić czegoś podobnego?

Słowa te napelniły mię zdumieniem. Prawdziwa niespodzianką było dla mnie, że muzułmanin, i nawet apostoł islamu, poddaje mi myśl poświęcenia godła wiary chrześcijańskiej. Zgodziłem się oczywiście na to.

ale z wielką przezornością, bo należało bądź co bądź mieć na uwadze, by nie obrazić czemkolwiek przy tej sposobności religijnych uczuć Kurdów i nie zaprzepaścić nasienia zgody, które, dziś dopiero rzucone w glebę, tak pięknie odradza zakiełkowało.

— Dobrze — odrzekłem, — poświęcę krzyż na tę intencję, ażeby w tych górach, gdzie dotychczas mieszkala nienawiść, stał się on widomyim znakiem miłości i pokoju. Czy zgadzasz się na to?

Sto głosów odezwało się potakująco, ja zaś mówilem dalej:

— Może kto z was zna pieśń, ułożoną przez Fileh el Mafileh? Prosiłbym go, aby mi powiedział słowa początkowe tej pieśni.

W odpowiedzi na to szek Kelurów począł recytować: — Gaza, nikma, bugda, tar...¹⁾

— Dostyć; więcej mi nie potrzeba — przerwałem. —

Te cztery słowa świadczą wymownie, jak ciemne chmury przewalały się ponad górami i dolinami tego kraju w ciągu całych stuleci, aż wreszcie rozdarło je słońce miłości i dobroci i promieniami tych cnót ziemię tę oświeciło. Gdyby który z was miał przy sobie farbę, napisałbym na tym krzyżu inną muwal²⁾, a napelniałaby ona prawdą i błogosławieństwem każdego, kto by ją przeczytał, zbłądziwszy w te strony.

— Effendi, ja jestem z zawodu szahbar³⁾ i mam przy sobie nila⁴⁾ — zgłosił się jeden z Kelurów.

Bardzo mię to ucieszyło. Nie mając pod ręką pendzla, sporządziłem go sobie z patyka, a wdrapawszy się na szczyt ruin, przy pomocy dwóch Kelurów, którzy mię podtrzymywali, abym nie spadł, wypisałem owym rozstrzępionym na końcu patykiem na przecznicy krzyża następujące słowa w języku arabskim:

„Kochaj bliźniego, a Bóg obdarzy cię doczesną i wieczną szczęśliwością!”

¹⁾ Kara, odwet, nienawiść, zemsta... ²⁾ Pieśń. ³⁾ Farbiarz.

⁴⁾ Indygo.

Gdy, skończywszy pisanie, zeszedłem na dół, Salī głośno odczytał ów napis zebrany, a ci, kiwając głowami i potakując, uznali trafność wypisanej maksymy. Miałem następnie krótką przemowę do Kelurów, poczem ukląknem i odmówilem „Ojcie nasz”, po którym wszyscy, również klęcząc, odpowiedzieli chórem: „Amin”.

Zaznaczam tu, że my obaj tylko i Salī rozumieliśmy dobrze, jak wielkiego sprzeniewierzenia swej wierze dopuścili się w tej chwili ci ludzie.

Po uroczystości poświęcenia krzyża wróciliśmy do obozu, pozostając tam jeszcze przez dzień i noc. Rozumie się, że mają Halef wykorzystał znakomicie nadarzoną sposobność, by się dostatecznie nagadać, i opowiadał zdumionym Kelurom o wszystkich naszych czynach i dziwnych przygodach. Poszedłem w końcu i ja za jego przykładem, opowiadając również, — ale treść słów moich była inna. Mianowicie, korzystając z dobrej sposobności, postanowiłem zasiać w te dzikie, ale w gruncie rzeczy dobre dusze to, co by je mogło uszachetnić i oświecić w prawdziwej wierze. A wiedziałem, że nasiona boże padną na grunt odpowiedni. Opowiadałem więc zdarzenia i prorocтва ze Starego Zakonu, dotyczące przyjścia Zbawiciela, następnie Jego narodzenia, życia, cudów, meki, śmierci, zmartwychwstania i wniebowstąpienia, wplatając w to zreczenie wszystko to, co by mogło dać pojęcie Kelurom o zasadach wiary chrześcijańskiej.

Słuchano mię z wielkiem skupieniem i z niebywałem zajęciem, aż wreszcie Szir Samurek zauważył:

— Ależ, effendi, myśmy dotychczas o tem wszystkim nie słyszeli.

— Wiem o tem; wyznało mi to już wielu muzułmanów, którzy, nie słysząc ani słowa z nauki Chrystusa, gardzili nią, dopóki o niej pojęcia nie nabrali. Czyż więc nie jest największą głupotą potępiać to, czego się wcale nie zna?

— Masz słuszność. Ale mówiłeś nam, że Iza Ben

Maryam czynił cuda; czy to jest dowiedzione, co nam o nich opowiadałeś?

— Tak, jest to najistotniejsza prawda.

— A dlaczego obecnie nie dzieją się wśród was żadne cuda?

— O, właśnie, że się dzieją.

— Wśród was?

— I wśród nas i wśród was.

— Nigdy jeszcze nie takiego nie widziałem.

— Bo masz oczy zamknięte. Otwórz je tylko, a ujrzysz cuda wszędzie. Krótkowidz i niedowiarek w takich okolicznościach dopatruje się tylko przypadku, a nie cudu.

— Chciałeś przez to powiedzieć, że arid¹⁾ nie istnieje wcale?

— Tak twierdzą.

— Otóż w tem właśnie pomyliłeś się, effendi. Przypadki istnieją, i ja sam przeżyłem ich bardzo wiele.

— Mylisz się. Chrześcijanie wierzą, że ręka Boga prowadzi człowieka od kolebki do grobu, i to, co się dzieje, dzieje się tylko z woli boskiej. Kto jednak uchyla się od praw bożych i wyznacza sobie sam złą drogę w życiu, ten oczywiście, czyniąc wszystko wedle swej woli, ponosić potem musi skutki tej samowoli. Przypadek więc, jak w jednym, tak i w drugim razie jest wykluczony, bo albo Stwórca układa człowieka koleje jego życia, albo układa je on sam sobie. Zresztą i was islam uczy, że wszystko, co się dzieje, jest postanowione z góry i uniknąć tego nie można; czyż więc przypadek nie jest i u was wykluczony?

— Prawda! przynajmniej ci słuszność, choć do tej chwili nie umiałem tego stwierdzić. Ale powiedz mi, jak się rzecz ma z cudami?

— Owóż, jeżeli człowiek sprzeciwia się woli Bożej i czyni, jak mu się podoba, wówczas Bóg rozłącza

¹⁾ Przypadek.

nad nim szczególniejszą łaskę, aby go nawrócić ze zlej drogi, i to właśnie, co Pan Bóg czyni dla niego, jest najoczywistszym cudem.

— Nie przypominam sobie, aby cud tego rodzaju wydarzył mi się w życiu.

— A jednak zdarzył się, tylko nie myślałeś o tem.

— Maszallah! Podaj mi choć jeden fakt z mego życia, a uwierzę!

— Nie długo trzeba szukać takiego faktu. Hadżi Halef Omar opowiadał wam niedawno, w jaki sposób podszedłem was i podstępnie. Przypomnij teraz sobie, jak zachęcałeś swych wojowników, by wyśmieli twierdzenia Ben Akwila i jego ojca, a potem... przypomnij swoje własne słowa: „Jutro o tym czasie usłyszycie podobny śmiech szyderstwa wśród dyabłów w piekle. Wasze nadzieje są płonne, dowodzenia niedorzeczne, a wiara oszukańcza. Allah, ani prorok, ani nawet Bóg niewiernych nie wydrze was z rąk moich i nie zapobiegnie okropnej śmierci...” Mówiłeś tak, nieprawdaż? I czy bodaj przez myśl ci przeszło wtedy, że się stanie zupełnie inaczej? A jednak patrz: Bebbejowie odzyskali wolność, a ty natomiast dostałeś się do niewoli, i gdybyś był natrafił na ludzi podobnych sobie, byłbyś niezawodnie sam dziś usłyszał w piekle śmiech szatanów, którym ich straszyleś. Otóż ta okoliczność, że żyjesz jeszcze, jest cudem, dokonanym z woli tego samego Boga, który również cudownie uratował ohydnych skazanych na śmierć Bebbejów, a dokonany za pośrednictwem mnie i Halefa, za pośrednictwem dwóch słabych i ułomnych śmiertelników. Czy zaprzeczysz temu?

— Nie wiem, co na to odrzec, effendi.

— Przeciwnie, wiesz dobrze, ale wahasz się i ociągasz z wyznaniem swych myśli. A jednak z tym cudem wiąże się jeszcze drugi, może nawet większy. Sali Ben Akwil i ojciec jego byli waszymi wrogami, a oto teraz siedzą koło was, jako serdeczni przyjaciele, choć nie opłacili wam żądanej ceny krwi. Jeżeli i to byłoby

tylko przypadkiem, to w końcu gotów byłbym i ja uwierzyć, że cuda nie dzieją się na świecie.

Tu Szir Samurek zerwał się na równe nogi i wykrzyknął z zapałem:

— Teraz, teraz właśnie trafiliście najmocniej do mego przekonania, effendi, zwyciężając mnie ostatecznie. Jeszcze wczoraj nie byłby przewidział tego żaden człowiek na świecie. Otóż przyznaję teraz, że zdarzają się na ziemi cuda i że sprawia je potęga owej miłości, którą głosisz nietylko słowem, ale i czynem. Wszak i dusza moja przeistoczyła się od wczoraj do tego stopnia, że sam siebie nie poznaję. I gdybym cię nie doświadczył dobrze, gdybyś mię czynami swymi nie przekonał, uważałbym cię za podstępnego misionarza, który zapomocą obrotnego języka stara się nawrócić moich współwyznawców na wiarę chrześcijańską. Twoje to czyny i dobroć twoja sprawiły, że wierzę ci najzupełniej, i gdy będziesz się z nami rozstawał, poproszę cię, abyś nam zostawił na pamiątkę mah et takid¹⁾, któraaby przez długie czasy orzeźwiała nasze serca miłością ku tobie i radością. Czy zamierzasz odwiedzić jeszcze kiedy ponownie krainę Kurdów?

— Bóg raczy to wiedzieć... Jak On zechce, tak się stanie.

— O, mam nadzieję, że On ci pozwoli przybyć do nas jeszcze. A wówczas przyjmie cię, jak przyjaciela, jak brata. Teraz pragnąłbym dowiedzieć się coś jeszcze od ciebie o Ukrzyżowanym i jego dwunastu hawarijun²⁾. Szkoła, że tak przedko chcesz nas pożegnać...

Uczyliłem zadość żądaniu Szir Samureka, opowiadając rozmaite zdarzenia z biblii i uzupełniając je przykładami z własnego życia. A miałem w tem pewien cel uboczny. Oto, jak wiedzą już czytelnicy z poprzedniej treści opowiadania, Kellurowie wybierali się na rabunek na granicę perską. Postanowiłem tedy odwiedzić ich od tego zamiaru przez rozmaite zreczenie dostosow-

1) Woda świętych przekonań. 2) Apostołowie.

wane ostrzeżenia, tak, że nikt, prócz Ben Akwila, nie rozumiał ich celu. Doprowadziłem do tego, że Szir Samurek sam w końcu zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— W takim razie i nasza wyprawa na granice Persyi byłaby zbrodnią... Jak myślisz, emirze?

Rozmyślnie nie odpowiedziałem wprost na to zapytanie, udając, że nie miałem tego na myśli, i tylko niby mimochodem zaznaczyłem, że tego rodzaju napady są istotnie zbrodnicze i potępienia godne. Wywiązała się nad tem żywa dyskusja między nim a jego wojownikami, przywykłymi do zbójckiego rzemiosła i uważającymi rabunek za czyn honorowy i rycerski. Pokusa była wielką, bo szło przeciwko o znaczne zdołbycze, a przytem zawrócenie z przedsięwziętej wyprawy do domu w połowie drogi tak sobie, bez ważnej przyczyny, uważaliby oni za coś hańbiącego, równającego się tchórzostwu. Zadanie więc moje było trudne, dało się jednak przeprowadzić właśnie dlatego, że postępowałem umiejętnie, niemal chytrze i w powoli, z pozorną obojętnością. I oto w końcu Kelurowie zgodzili się wreszcie na zaniechanie rabunkowej wyprawy, a natomiast postanowili urządzić wielkie polowanie.

Jeden tylko Sali poznał się na moich tajemnych zamiarach i przy sposobności wziął mię pod ramię, a odprowadziwszy na bok, rzekł:

— Jesteś bardzo niebezpieczny, effendi, bo umiesz kierować ludźmi, jako sam chesz, nawet wbrew ich woli. Szczęście, że nie ku złemu, lecz ku dobremu zmierzają wszystkie twoje czyny; w przeciwnym razie byłbyś najszkodliwszym człowiekiem pod słońcem.

Późna noc była, gdyśmy się udali na spoczynek.

Nazajutrz Kelurowie zwinęli obóz już o świcie i wybrali się w drogę. Postanowiłem towarzyszyć im tylko do końca doliny, a potem jechać wprost do Khoi. Szir Samurek ostatni wsiadł na konia, przedtem jednak wręczył mi pieniądze oberżysty, mówiąc:

— Podziwiam cię, effendi, że aż do tej chwili nie

opomniałeś się o pieniądze. Oto masz je. Oddając ci je, dopełniam ostatniego z warunków, jakie mi postawiłeś.

Jechał na samym końcu oddziału, a za nim podążał nezanam z ludźmi z Khoi, którzy otrzymali napowrót swoje rzeczy.

Ja z Halelem udałem się jeszcze do kaplicy, by tam bodaj przez chwilę podumać nad wypadkami, których byłem świadkiem i sprawcą. Przyłączyli się do nas obaj Bebbejowie.

Gdyśmy wracali, Ben Akwil rzekł do mnie:

— Pożegnamy cię tutaj, effendi, bo drogi nasze w przeciwnych rozchodzą się kierunkach. Pamiętaj jednak, że czyny twoje i słowa utkwily w duszach naszych na wieki. Za twojem pośrednictwem doznałiśmy wielkiej łaski niebios, i dlatego serca nasze przepętnione są dla ciebie niewymowną wdzięcznością. Jeżeli Allah spełni moją prośbę, to spotkamy się z sobą jeszcze w życiu, a spotkamy się jako przyjaciele, bez względu na to, czy znajdzie Mahdiego, czy też ową gwiazdę promienną, którą mi przypowiedziałeś. Niechże tedy aż do chwili ponownego spotkania i na zawsze towarzyszy ci błogostawieństwo Allaha!

Dopędziłiśmy wkrótce Kelurów i pożegnaliśmy się z nimi, oczywiście na sposób wschodni, więc obsypując się wzajemnie mnóstwem pięknych słów, tym jednak razem naprawdę szczerych i serdecznych.

Potem, gdyśmy wraz z resztą ludzi, wypuszczonych przez szeika z niewoli, znaleźli się na drodze do Khoi, zaczął Halel:

— Wiesz, sidi, że pożegnanie nie należy do rzeczy bardzo wesołych, skoro w kąciakach oczu pojawiają się krople łez. No, ale pocieszam się tem, że czyny, przez nas tutaj dokonane, będą w naszym życiu jaśniały, jak perły drogocenne. Nieprzyjaciele nasi stali się nam przyjaciółmi, a skóry z trzech młodych niedźwiedzi będą najlepszym dowodem naszego bohaterstwa i odwagi. Co do mnie, teraz, po tem wszystkim, czuję się o wiele

lepiej, niż w owej chwili, gdy wisiałem na gałęzi topoli, wyrzucony przez zawadyacką tulumbę. A niechże tę sikawkę obsiędą wszyscy dyabli na podobieństwo roju pszczoł i zjedzą ją, jakśmy zjedli cztery sztuki niedźwiedzi!

Powracający z nami obywatele Khoi silili się na okazanie nam wdzięczności za doznane od nas dobrodziejstwa, aleśmy się trzymali od nich zdaleka, gdyż nawet najprzedniejszy z nich dygnitarz, nezanum, którego mądrość, wedle pojęcia oberżysty, była o wiele większa od mojej, nie budził we mnie zbyt dużego zachwytu i nie było się z kim zaprzyjaźniać.

Przybycie nasze do Khoi wywołało w miasteczku niesłychane zbiegowisko. Przed gospodą zgromadziły się całe tłumy ciekawych, a Halef miał znowu sposobność popisywania się swoim talentem oratorskim.

W siódmym niebie uczuł się oberżysta, otrzymawszy napowrót zabrane sobie pieniądze, a jego żona ze łzami w oczach wyznała mi, że mąż jej, wyrzekłszy się raz na zawsze trunków, dotrzymuje słowa i nie oddaje się już pijaństwu.

Pozostaliśmy w Khoi pięć dni, w ciągu których mieszkańcy miasteczka nie szczędzili nam dowodów życzliwości. Jeden tylko aptekarz wrogo dla nas był usposobiony i chciał nas nawet zaskarżyć o kradzież jego koni, ale zaniechał tego zamiaru, żądając tylko odszkodowania. Gdy się zjawiał u nas w izbie z tem żądaniem, Halef oświadczył gotowość wypłacenia mu pewnej sumy, ale nie w złocie, lecz w uderzeniach swego batoga ze skóry hipopotama. Przestraszony tą propozycją aptekarz uciekł, dając za wygraną, i tylko gdyśmy odjeżdżali, patrzył za nami wzrokiem pełnym nienawiści.

Rzecz prosta — niewieleśmy sobie z tego robili...